Nr. 11. We Lwowie dnia 18. marca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



Dziennikarstwo polskie w Ameryce.

Spora broszura (o 130 str.), napisana przez p. Henryka Nagla, przeznaczona była, jak się zdaje, na kongres literacki we Lwowie. Tak przynajmniej wnosić wolno ze znajdującego się na niej napisu: »referat, przeznaczony na wystawę kościuszkowską 1894 r. we Lwowie«.

»Mamy teraz — pisze autor na wstępie — na półtora lub dwa miljony Polaków, zamieszkałych w Ameryce, trzydzieści kilka pism polskich, a z tej liczby około 20, posiadających trwalsze podstawy bytu i wychodzących już od dłuższego czasu. W każdym razie to nasze społeczeństwo, a szczególniej ta prasa emigracyjna, rozwijająca się tak bujnie zdala od pnia macierzystego, od Polski, stanowi objaw społeczny i umysłowy niezwykły i ciekawy, a jako taki, godny zbadania, lub choćby tylko — w oczekiwaniu przyszłych, krytycznych badaczy — objektywnego przedstawienia przed oczy ogółu«. Na razie autor zapragnął pozostać na gruncie czysto przedmiotowym, przedstawiając tylko fakta.

Nie licząc emigracji jednostek w końcu zeszłego stulecia, pierwszych polskich emigrantów w nieco liczniejszej grupie widzimy w Ameryce po r. 1831. Jest to, naturalnie, emigracja polityczna, tak samo jak późniejsza, po r. 1863. Początki emigracji, spowodowanej przyczynami natury ekonomicznej, odnieść należy do szóstego lat dziesiątka. Około r. 1856 ukazują się pierwsze kolonje polskie w głębokiem Texas. Są to kolonje górnoszląskie. W owym czasie przybył do Texas jeden z najstarszych osadników, Piotr Kiołbassa, chłopiec kilkunastoletni. Były to jednak kolonje nieliczne. Dopiero około r. 1870, a szczególnie po wojnie francusko-pruskiej, tworzą się liczniejsze kolonje ludowe w Chicago, Milwaukee, Detroit, Buffalo i w paru miejscach Pensylwanji.

Rzecz prosta, że pierwsi już emigranci, o pokroju politycznym, nie mogli obejść się, jak wszędzie zresztą na emigracji, bez prasy, bez jakiego takiego pisma. Nie było ono oparte, naturalnie, na gruncie, jak powiada autor, »byznesowym«, t. j. nie opłacało się. Miało inne cele na widoku.

Pierwszem pismem było miniaturowe »Echo z Polski«, którego numer pierwszy ukazał się 1. czerwca 1863 r. w New-Jorku. Jest ono poświęcone głównie sprawom powstania, miejscowe zaś uwzględnia o tyle, o ile wiążą się ze sprawą walki w ojczyźnie. Z upadkiem powstania znika (w pierwszej połowie r. 1865) to jedyne pismo polskie, powstałe dzięki usiłowaniom i energji nielicznych naówczas w Ameryce przedstawicieli emigracji z lat 31., 48. i 62.

Po pięcioletniej przerwie, w r. 1870, ukazuje się »Orzeł Biały« w Waszyngtonie (stan Missouri, gdzie widocznie zaczęła się tworzyć jedna z pierwszych kolonji polskich). Charakter »Orła«, (którego tytuł podaje autor rozmaicie, raz nazywając

go »białym«, to znowu »polskim«) różni się już zupełnie od charakteru »Echa«. Nie jest on już pismem emigracyjnem, pragnie natomiast przystosować się do realnych, codziennych potrzeb czytelników z ludu, chciałby przytem uczynić gazetę przedsiębiorstwem. W ciągu swego niedługiego, bo zaledwie dwuletniego żywota, wędruje z Waszyngtonu do Krakowa, stąd do Union. Jest tedy i pod tym względem prototypem gazet polskich obecnego charakteru w Ameryce.

Przy końcu żywota »Orła« ukazują się (w r. 1872) dwa pisma: »Pielgrzym« i »Swoboda«. Ostatnie w ciągu roku umiera. Natomiast »Pielgrzym«, wędrując z Union przez Detroit do Chicago, przekształcił się w istniejącą do dziś »Gazetę Katolicką«, jeden z najpoważniejszych organów prasy polskiej w Ameryce.

W r. 1873 powstaje w Chicago »Gazeta Polska«, od nazwiska swego wydawcy »Dyniewiczówką« zwana. W r. 1881 ukazuje się w New-Jorku, wychodząc następnie kolejno w Milwaukee i Chicago »Zgoda«, organ Związku narodu polskiego, trwający do dziś. Do roku 1884-5 dziennikarstwo polsko-amerykańskie (liczące w tym okresie 4 lub 5 pism) pozostaje mniej więcej na jednym stopniu rozwoju. Pisma redagowane są dość miernie, opierają się głównie na przedrukach.

Dopiero w okresie 1884—1887 powstaje ruch ożywiony. Ukazują się nowe siły dziennikarskie: Brodowski, Sadowski, Kruszka, Slisz, Derdowski, dr. Czupka, Zawisza, Parysso, których nazwiska i do dziś widnieją w szpaltach pism. Powstaje cały szereg nowych gazet. Zakres terytorjalny dziennikarstwa rozszerza się. W tej epoce powstały między innymi: »Polak w Ameryce« (1887), »Głos wolny«, »Wiarus« i inne, pismo humorystyczne »Osa« oraz pierwsze próby gazeciarstwa codziennego (Dyniewicza »Dziennik« i Smulskiego »Kurjer Chicagoski«), próby jednak niefortunne. Dopiero w najnowszym okresie od r. 1888, wraz z ogólnym, ilościowym i jakościowym rozwojem dziennikarstwa, utrwala się wydawnictwo pism codziennnych. Od połowy r. 1888 aż do dziś wychodzi w Milwaukee »Kurjer polski« M. Kruszki. Od końca r. 1890 ukazuje się nakładem Spółki wydawnictwa polskiego w Chicago »Dziennik Chicagoski«.

W ciągu 31 lat istnienia dziennikarstwa polskiego w Ameryce wychodziło i wychodzi 105 różnych pism, w tej liczbie 9 dzienników. Najwięcej pism pojawiło się w Chicago. W chwili obecnej (r. 1894) istnieje 32 gazet, z nich 10 wychodzi w Chicago.

Przechodząc do charakterystyki dziennikarstwa polsko-amerykańskiego, powtórzymy przedewszystkiem za autorem wiązankę wiadomości o wspomnianem powyżej czasopiśmie »Echo z Polski«. Numer pierwszy tego pisemka wyszedł 1 czerwca roku 1863 z drukarni Schriftgiessera i Pickera w Nowym Jorku. Schriftgiesser był żydem polskim, wyemigrował z kraju z przyczyn politycznych. On też podobno w znacznej mierze przyczynił się do założenia drukarni i gazety. Pismo było formatu dużej ćwiartki. W tytule miało herby Polski i Litwy, napisy: »Polonia«, »Lithuania« i »Ruthenia«, oraz »Wolność, równość i niepodległość«, a nad nimi promieniejąca gwiazda nadzieji. Charakter pisma był, jak to już powiedzieliśmy, ściśle polityczny. Szło mu o agitację polityczną w Ameryce dla powstania 1863 r. Jak widać z pisma, sprawa powstania cieszyła się sympatją u Amerykanów. Płynęły zewsząd obfite składki dla powstańców. Sama zaś wysokość ofiar dowodzi, że nie mogły one pochodzić od nielicznej garstki emigracyjnej, że w znacznej mierze składali je Amerykanie. Zawiązywały się też komitety dla pomocy powstaniu, odbywały mityngi.

»To też w »Echu« — pisze p. Nagiel — nie znajdziecie prawie słówka o niczem innem, jak tylko o bohaterskiej walce narodu polskiego z Rosją. Weźmy n. p. nr. 2. gazetki. Czytamy tam najpierw artykuł p. t. »Polityka rewolucyjna« (przegląd z pisma tajnego warszawskiego »Prawda«) i szczegółowe wiadomości o walkach powstańczych; dalej następuje »Odezwa do Polaków wyznania mojżeszowego w Stanach zjedn. Ameryki«, »Odezwa delegacji w Londynie«, »List ucznia z New-Jork University w sprawie powstania«, pokwitowania z nadesłanych składek (w nrze 7. np. od Towarzystwa centralnego polskiego w San Francisko 6000 dolarów). W ogóle — jak twierdzi p. Nagiel — zebrano w owym czasie w Stanach Zjednoczonych około 60.000 dolarów na rzecz powstania. »Echo« daje także dość dokładny obraz manifestacji na rzecz sprawy polskiej, sprawozdania z mityngów, posiedzeń utworzonych komitetów (kilka z nich składało się z dam angielek). W Chicago Czesi urządzili bal, przeznaczając dochód na rzecz sprawy powstania. Nakładem »Echa« wyszła pierwsza zapewne książka polska, drukowana w Ameryce. Jest to »Zbiór pieśni narodowych« wydany w czerwcu 1864 r.

Wyłączając »Echo«, jako pismo polityczno-emigracyjne, o charakterze reszty prasy polsko-amerykańskiej pisze autor, że jest on i długo musi pozostać informacyjnym w najszerszym zakresie tego wyrazu. Gruntem jej poglądów (z nielicznymi wyjątkami, gdyż w r. 1888 pojawiły się pisma z kierunkiem ateistycznym i anarchistycznym) jest zawsze duch religijny. Pod względem formy ma odcień ludowy, traktuje sprawy w sposób najprostszy, unikając kwestji zbyt zawiłych, subtelnych lub specjalnych. Brak zupełnie pism, poświęconych czy to specjalnie literaturze, czy sprawom społecznym, czy też jakiejkolwiek gałęzi wiedzy, umiejętności, przemysłu. Nawet pisma specjalnie humorystyczne nie utrzymują się na tutejszym gruncie.

Przez pierwsze 17 lat istnienia prasy polskiej w Ameryce nie było innych pism, jak ty-

godniki, będące jednak co do treści tylko dziennikami skondensowanymi do wydania tygodniowego. Dzienniki są już organami prasy na model amerykański.

Jedną z cech prasy polsko-amerykańskiej jest wielka jej zmienność i ruchliwość: w ciągu lat 30-tu przeszło 100 pism!

Powody tej zmienności i ruchliwości widzi autor przedewszystkiem w zmianach, jakim ulegały kolonje polskie w Ameryce; dalej w łatwości zakładania nowych pism: nie ma tu żadnych koncesji, kaucji, stempla i t. p. cywilizowanych utrudnień; następnie w walkach polskich partji i organizacji, dla prowadzenia których powstała tu niejedna gazeta. Nakoniec, ważną przyczyną ruchliwości a zarazem nietrwałości prasy polsko-amerykańskiej jest t. zw. polityka amerykańska, walka wyborcza, w ciągu której dla celów czysto agitacyjnych powstało niejedno pisemko.

Nie możemy tu powtarzać za autorem szczegółowej, z wielkim nakładem pracy zestawionej historji każdego pisma. Kończąc nasze sprawozdanie poprzestaniemy tylko na zanotowaniu, iż ruskich pism wychodziło 4, do dziś przetrwały tylko 2. Z 12 pism litewskich połowa tylko egzystuje w chwili teraźniejszej.

p.

Juljusz Słowacki i jego dzieła.

III.

Tom drugi komentarza dra Biegeleisena rozpoczyna się nadzwyczaj barwnym i ciepłym opisem pobytu Słowackiego w Szwajcarji. Dzięki nowym i nieznanym dotąd materjałom, a zwłaszcza listom Eglantyny Patteg do matki Słowackiego, które autor mógł tu wyzyskać, ustęp ten dorzuca sporo nowych szczegółów do bjografji Słowackiego w tym okresie i pozwala nam zrozumieć Słowackiego i jego stosunek do Eglantyny lepiej, niż to dotychczas było możliwem. »Stosunek ten«, w którym jeszcze prof. Małecki upatrywał dużo niewyjaśnionego i zagadkowego, zdaniem dra Biegeleisena »był pełen szlachetnej delikatności. Ona starsza od niego o lat pięć była mu opiekunką, pod której skrzydła tulił się poeta, rozpieszczony przez kobiety, potrzebujący koniecznie jeżeli nie kochać, to przynajmniej być kochanym«. Tragiczność tego stosunku polegała chyba w tem, że dla Słowackiego Eglantyna nie przestała nigdy być starszą siostrą, podczas gdy dla niej, »węzły przyjaźni zacieśniały się po dwurocznem przeszło pożyciu pod jednym dachem, z każdym dniem więcej«. Lecz właśnie na ten czas, pod koniec jesieni 1834 przypadło poznanie się poety z Marją Wodzińską, do której niebawem skierował swe uczucia. Horyzont pensjonatu począł się zaciemniać. Ogródek wspólnie z Eglantyną zasadzony coś nie rósł, choć na słońcu i często polewany. Bzy dawno przekwitły w ogrodzie, a laur, stojący pod jego oknem, usechł... Postać tęczowemi barwami poezji opromienionej Marji rzuciła ponury cień między dwoje ludzi, z których jedna, widząc się »oszukaną« w miłości i przez szczęśliwszą w kąt odsuniętą, poczęła schnąć i zalewać się łzami, aż w końcu niebezpiecznie zachorowała, kiedy drugim miotały wyrzuty sumienia i porywy świeżej, idealnej miłości«. To były pierwsze zarody nowych świetnych pereł poetycznych, które wkrótce wzbogaciły literaturę polską takiemi arcydziełami, jak »W Szwajcarji« i pomniejsze poezje liryczne z tej doby. Rozbiór tych wierszy (»Przekleństwo«, »Ostatnie wspomnienie«, »Sumnienie«), które niestety nie weszły do obecnego wydania dzieł Słowackiego, gdyż wchodzą w poczet t. zw. »Pism pośmiertnych« należy do najbardziej udatnych partji komentarza dra Biegeleisena.

Bardzo piękny i gruntowny jest także rozbiór znakomitego poematu »Grób Agamemnona«. Poemat ten pod względem prostoty pomysłu, potęgi uczucia i bogactwa myśli jest niewątpliwie jedną z najświetniejszych pereł w skarbcu poezji polskiej, lecz właśnie dla tego jego przewodnie myśli polityczne budziły zacięte sprzeczki między dwoma obozami: szlachecko-konserwatywnym i postępowo-ludowym. Sprzeczki te nie pozostawały w dziedzinie artykułów i krytyk rozumowanych (z których najważniejszą krytykę St. hr. Tarnowskiego dr. Biegeleisen sumiennie streszcza), ale przeszły także na pole poetyczne. Jakiś pełen fantazji szermierz obozu konserwatywnego uznał za rzecz konieczną odpowiedzieć Słowackiemu wierszami; temu znów odpowiedział A. Waga. Dr. B. przytacza oba te wiersze, ilustrując tym sposobem dosadnie tę walkę ideji, jaka się wywiązała z powodu tego poematu i która ostatecznie dotychczas jeszcze w żadnej wyższej syntezie nie znalazła ostatecznego załatwienia.

Rozbiór Anhellego, obejmujący 50 stronic ścisłego druku, należy również do najlepiej opra-

cowanych partji dzieła dra Biegeleisena. Niczego nie pominięto, co jest potrzebne dla zrozumienia tej niezmiernie oryginalnej kreacji Słowackiego. Komentator zebrał wszelkie świadectwa o wrażeniach, uczuciach i reminiscencjach Słowackiego, które się złożyły na ten poemat, przytoczył resztki poematu w dantejskich tercynach ułożonego p. t. »Posielenie«, który był niewątpliwie pierwszym rzutem »Anhellego« i streścił następnie dość obszerną literaturę rozbiorów i interpretacji tego poematu, poczynając od listu Z. Krasińskiego, a kończąc na Brandesie, który stawia to dzieło w rzędzie najgłębszych utworów literatury świata całego.

Niemniej obszerne, bo przeszło 60 stron druku obejmujące studjum, poświęcił dr. Biegeleisen poematowi »W Szwajcarji«. Poemat ten, w którym szczegóły auto-bjograficzne, przetopione przez niepohamowaną fantazję Słowackiego i olśnione blaskiem fantastycznej przyrody alpejskiej, stanowią tło główne, rzeczywiście uważanym być musi za *crux interpretum* i wymaga analizy nie tylko gruntownej, ale też nadwyczaj subtelnej, zwłaszcza z powodu tej tęczowej gry uczuć, która jest jego głównym rysem znamiennym.

Nie rozpatrując szczegółowo dalszych rozbiorów dzieł z epoki rozkwitu genjuszu Słowackiego ani też dzieł z epoki Towianizmu, zaznaczamy, że wszystkie one stają na tym samym wysokim poziomie, co i streszczone tutaj rozbiory arcydzieł poety. Jednemu chyba rozbiorowi Beniowskiego zarzucićby można, że jest zbytnio analityczny i nie skupia w jedno ognisko tych różnorodnych myśli, które Słowacki rozsypał w tym poemacie. Ale to może nie było celem komentatora, któremu tutaj chodziło bardziej o wyjaśnienie szczegółów, niż o całość.

Na tem kończymy omówienie cennej pracy dra Biegeleisena. Sądzę, że bez przesady możemy ją nazwać najcenniejszym, bo najszerzej zakreślonym i najstaranniej wykonanym przyczynkiem do studjów o Słowackim, jakie obok bjografji Małeckiego posiada literatura polska.

Dr. Iwan Franko.

Z tułaczej jazdy.

I.
Granica.

(Dokończenie).

Wacek zresztą śpieszy jeszcze dla innego powodu: ma pod pachą Limanowskiego, którego czytać będzie Ance po herbacie, kiedy starzy się rozejdą. Wyraźnie, jak w halucynacji, widać tę miedzę w księżycowem świetle, później groblę, dróżkę między topolami i ogród. W domu przez otwarte okna widać Ankę, z brzękiem szykującą herbatę przy okrągłym stole. Z innego okna, w saloniku, zalatują z ciemnego pokoju ciche, zadumane akordy i głos nieśmiały nuci sentymentalną piosenkę:

. . . Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni...

Prawie że słyszy Zakrzewski tę piosenkę, której wtóruje jakiś daleki, niewyraźny łoskot...

— Pan nie do Strzemieszyc? — rozlega się nagle głos czyjś.

Zakrzewski zrywa się od okna, czując jęknięcie nerwów w całem ciele.

— O, nie, — ja do granicy.

Konduktor odchodzi, oglądając się uważnie po wagonie. Zakrzewski zapomina naraz o dalekiem wspomnieniu, które go tak niewiedzieć skąd opanowało i niespokojnym wzrokiem odprowadza konduktora.

— Skąd się tu wziął strażnik, w kącie pod drzwiami? — myśli Zakrzewski. Strażnik stoi, nie korzystając z uprzejmości izraelity, ustępującego mu pół siedzenia i rozgląda się po wagonie. Zakrzewski stara się nie patrzeć na niego. — Strażnicy zresztą są od kontrabandy i nic więcej — uspakaja siebie.

W Strzemieszycach do wagonu wpakowuje się tłum ludzi: robotników, żydów, przybywa jeszcze jeden strażnik. Wszyscy rozprawiają głośno o swych sprawach. Stary, osmolony robotnik wymienia nazwy kopalń węglowych: Paryż, Niwka, Mortimer. Ktoś opowiada o wypadku na Hucie Bankowej. Jakaś baba rozwodzi się na głos o »krzywdzicielu« nadsztygarze. Dawni lokatorowie wagonu jakby znikli pod tym najściem miejscowej ludności i słuchają rozmów robotników. Żydek wypytuje babę o szczegóły jej krzywdy — baba opowiada coś o wózkach i o dniówkach na kopalni.

Zakrzewski słucha tego wszystkiego z dziwnem uczuciem: to uczucie pochodzi stąd, że po raz pierwszy w życiu słucha i widzi z bliska ludzi, dla których w swoim czasie tyle zebrań zwołał, celem »uświadamiania« ich o krzywdach ustroju kapitalistycznego, słyszy ich pierwszy raz i nader mało interesuje się kwestją wózków i dniówek, lecz więcej patrzy na strażników, którzy palą, stojąc przy drzwiach. Patrząc, głuszy coraz ostrzejszy niepokój i odruchowo ręką dotyka bocznej kieszeni, gdzie ma pieniądze i półpasek na imię i nazwisko nieznanego sobie Jana Huca. Wydaje mu się, że jak na Huca, wygląda za wspaniale, chociaż z drugiej strony nazwisko niczego nie dowodzi, bo taki Huc jest sobie może bardzo zamożnym mieszczaninem.

Żydek tymczasem, wysłuchawszy opowiadania baby, wyraża swój sąd o nadsztygarze — nazywa go po prostu szachrajem i łapserdakiem.

Zakrzewski znowu spogląda ku strażnikom i zbywa żydka, który teraz opowiada wszystkim w wagonie, jaki to »chrześcijanin czasem się trafia na tym świecie«. Jednocześnie czuje Zakrzewski pewną złość do baby i do żydka i do siebie — złość i wstyd. Skronie pałają mu przy tem coraz mocniej i chwilami czuje znowu schnięcie w gardle i dreszczyki naskórne, jak przy widoku pierwszych oznak granicy.

Wreszcie pociąg staje przed zatłoczonym peronem i trzeba wysiadać. W mózgu Zakrzewskiego robi się nagle wielka pustka — wraz z tłumem rozpychającym się wchodzi do bufetu i oddaje machinalnie żandarmowi półpasek, który od pewnego czasu kurczowo zaciskał w ręku. W poczekalni zgiełk i tłok. Między publicznością snuje się żyd, ofiarowujący zmianę pieniędzy: parę osób zmienia, Zakrzewski robi to samo, uważając, że tak lepiej, naturalniej. Jakaś pani biega po sali, szukając kapitana żandarmskiego dla załatwienia formalności. Znajduje go wreszcie przy bufecie i coś mu opowiada płaczliwym głosem. Żandarm rozmawia z nią bardzo grzecznie i zlekka żartobliwie. Zakrzewski słyszy głos jego po przez cały zgiełk poczekalni. I nagle przychodzi mu myśl, że on, Zakrzewski, również powinien rozmówić się z żandarmem. W myśli układa sobie frazes: »Przejeżdżam granicę po raz pierwszy — czy prócz półpaska żadnych innych formalności nie potrzeba? może należy co zadeklarować?« To go wystawi w dobrem świetle, jako zwykłego, naiwnego młodzieńca. Nawet wyraz twarzy Zakrzewskiego ulega pewnemu przystosowaniu przy układaniu tego frazesu: rozlewa się na niej pewna dobroduszność, uśmiechnięta głupkowato. Ale w sam raz dają sygnał do wsiadania i Zakrzewski płynie z tłumem, nie wykonawszy swego machiawelizmu. Na peronie tłum strażników i żandarmów, koło których Zakrzewski przechodzi niby całkiem obojętnie, wkładając jednak w tę obojętność połowę duszy — głupkowato dobroduszny wyraz nie schodzi mu z twarzy...

Wreszcie jest już w wagonie trzeciej klasy i zaczyna nadzwyczaj starannie, jak k a ż d y podróżujący, układać rzeczy. Robi to znowu w myśli, że to mu nadaje wygląd niep zlakowany i zwykły. Równocześnie czuje pewną otuchę i z tego względu, że nie stało mu się nic dotąd i że już jest w »austrjackim« pociągu. Sprawia mu dużo przykrości widok żydka z dawnego wagonu, który wchodzi wnosząc zasmolony worek i siada akurat na wolnem miejscu przy nim.

— Pan do Krakowa? — pyta żydek. — Co oni tak długo ten pociąg trzymają, te żandarmy?

Zakrzewskiego ta uwaga niepokoi; żydkowi jednak odpowiada niespodziewanie tonem złośliwym:

— Cóż panu tak pilno?

— Każdemu pilno w drodze! — odpowiada żydek.

Zakrzewski zgadza się i z rosnącym niepokojem patrzy w drzwi wagonu. Rzeczywiście — czemu to tak długo o n i nie przychodzą?

Zjawiają się wreszcie o n i w postaci żandarma z księgą i wielką paką papierów. Żandarm zapytuje każdego o nazwisko i wręcza mu papier. Robotnika-szlązaka wyrzuca z wagonu z powodu jakiejś nieformalności. Zakrzewski notuje ten fakt i powtarza w myśli: Jan Huc, Jan Huc, Jan Huc...

— Salomon Meyer — woła żydek obok siedzący. Żandarm wręcza mu papier. Zakrzewski znowu czuje przypływ dobrodusznie głupkowatej miny na twarzy i całkiem naturalnym głosem mówi:

— Jan Huc.

Żandarm wręcza mu papier.

* *
*

Za srebrzącą się w świetle księżyca wstęgą Przemszy błyszczą jeszcze rzęsiste światła lewego brzegu, r o s y j s k i e g o brzegu granicy... Pociąg pędzi teraz wśród piaszczystych, pustych wydm, wśród jakichś zarośli dziwnie smutnych i samotnych. Światła giną jedno po drugiem w ciemności. Wstęga rzeki odznacza się już tylko ciemnem pasmem drzew. I to wreszcie znika — pozostaje tylko monotonny łoskot pociągu, pędzącego wśród pustki...

— Tylko się nie bój, bo ostatecznie pójdziesz do ciupy, jak tylu innych, nic więcej! — dźwięczy w uszach Zakrzewskiego głos Olka. Teraz, kiedy nie pozostało już dla oka nic z t a m t e j s t r o n y, Zakrzewski przestaje wpatrywać się w kierunku Przemszy. Jedno po drugiem wypływają z duszy wrażenia dnia ubiegłego, który taki pełny był od samego rana, od rozstania się z Olkiem!

— Tylko się nic nie bój... — Zakrzewski opiera gorące czoło o ramę i nie patrzy już przed siebie.

— Ach, jakież to wstrętne! — szepce z mimowolnem wzdrygnięciem.

— Jakież to marne! — I czuje Zakrzewski gorycz i wstyd. Czuje, jakby wyrzut sumienia za niepopełnione dla oka, ale dojrzałe w sercu małe, nędzne zdrady. Czuje niewymowny żal za Olkiem, za tymi, którzy, »jak inni«, pójdą siedzieć w ciupie, kiedy on przebył granicę szczęśliwie. Czuje jakiś wielki rozdźwięk w swej małej przygodzie i nie może stłumić łkania, nie może powściągnąć łez, które zmywają z twarzy resztki głupkowato-dobrodusznej miny.

Jerzy Grol.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Ciąg dalszy.)

— Jutro wszystko będzie inaczej — powtórzył w duchu Łukasz, przypominając sobie na pociechę wieczory pod osiką. I w błogiej nadziei, że od jutra rozpoczną się dlań znowu szczęśliwe czasy miłości, uspokoił się i zasnął w chwili właśnie, gdy koguty w kurniku piały po raz trzeci, zwiastując gospodyniom i służącym, że słońce wstaje z różowych swych poduszek, że więc i one wstawać już powinny.

Nie spełniła się atoli nadzieja Łukasza co do zmiany na lepsze w Vendulce. Dziewczę zachowywało się drugiego dnia podobnie jak pierwszego, a trzeciego zupełnie tak, jak drugiego. Obstawała wciąż przy swojem, że pocałunków między nimi być niepowinno przed ślubem, aby nie ubliżyli tem nieboszczce, która, niebożątko, aż z tego świata odejść musiała, aby oni mogli być ze sobą szczęśliwi. Czemże mogą się jej za to wywdzięczyć, co dla niej innego zrobić, jeżeli nie złożą takiego choćby dowodu szacunku dla jej pamięci?

Biedny Łukasz nie wiedział już zgoła, co ma sobie myśleć o swej przyszłej. Jej mędrkowanie wcale mu się nie podobało, ale jak miał to jej wybić z głowy, gdy nie dawała wiary temu, co mówił dla obalenia jej dowodów! Dobrocią nie mógł niczego z nią dokazać, a zbyt ją kochał, aby innych probować środków. Uciekł się nakoniec do prośby. Ona jednak nie ustąpiła nawet wówczas, gdy błagał ją o pocałunek już nie z miłości, ale dla tego tylko, aby uczynić zadość jego żądaniu.

— Albożto dzieckiem małem jesteś, Łukaszu? — zgromiła go za niewczesne żądanie. — Mężczyzna powinien przecie we wszystkiem wyżej stać od kobiety, dla czegoż więc ty mniejszym chcesz być w cnocie odemnie? Zaczyna mi się to naprawdę w tobie niepodobać!

I znowu Łukasz nie mógł niczego dokazać ani prośbą, ani przekonywaniem, ani namową; aż zaczął przypuszczać, że Vendulka umyślnie wystawia go na tak ciężką próbę, ponieważ bawi ją, że tak dla niej bez pamięci głowę traci. A może nawet w skrytości śmieje się nad widocznem jego strapieniem, kto ją tam wie! Bo i jakżeby mogła nie dostrzec, że teraz podoba mu się trzy razy więcej, niż przed trzema laty, że zmienia się cały na twarzy, gdy ją nagle ujrzy, a nawet kiedy usłyszy jej głos? Tak, zauważyła z pewnością, że nigdy jej tak nie kochał jak teraz, bo oko ma bystre, a rozum dowcipny, — ale czyż to ładnie z jej strony, dręczyć go dla pustej zabawy, żartować potajemnie z jego uczuć i tak zapewne sobie myśleć: »Mogę z nim robić, co mi się tylko podoba teraz, gdy mam go już napewne«. Bywają ludzie, którzy cenią tylko to, czego zdobyć nie mogą i obojętnieją ku wszystkiemu, co posiędą. Czyżby i ona należała do takich?

I coraz ostrzejszą uczuwał w sercu gorycz, a po tygodniu powiedział jej wręcz, że nie wydaje mu się już tak dobrą, jak przed trzema laty.

Ale Vendulka zachowywała się wciąż tak, jak gdyby przymówek jego nie słyszała, nie rozumiała lub też nic sobie z nich zgoła nie robiła. Postępowała z nim serdecznie, wyglądała promieniejąco, krzątała się po domu tak żwawo, że widać po niej było, iż czuje się jak w niebie, i każdy rozchmurzał się mimowoli, patrząc w jej uszęśliwione oblicze. Radował się też i Łukasz, czując się także jak w niebie, gdy szczerze, serdecznie do niego się uśmiechała, ale skoro tylko przysiadł się do niej, chcąc rozpocząć poufną gawędkę o swojej dla niej miłości, przypominała sobie wnet o jakiejś pilnej robocie i wymykała mu się wpierw, nim się obejrzał. Cóż więc dziwnego, że stracił w końcu cierpliwość? Rozgniewał się też pewnego razu nie na żarty i aż nogą tupnął, wołając groźnie:

— Słuchaj, Vendulko, zrób już raz ze mną jaki koniec. Mam już dość, ale to zupełnie dość twoich morałów i jeżeli nie będziesz dla mnie znowu taką, jak niegdyś w ogrodzie ojcowskim, pod osiką, pójdę natychmiast do gospody i wrócę wówczas dopiero, gdy słońce stanie tam, nad górą.

Ona się zaczerwieniła, widać było, że przelękła się jego groźby, pomimo to jednak ani myślała ustąpić.

— Jeżeli na nic mądrzejszego, pomimo swych lat, zdobyć się nie umiesz, to sobie idź — odparła krótko i odeszła do zwykłych zajęć.

Takiej odpowiedzi Łukasz się nie spodziewał, przypuszczał owszem, że zrobi wszystko, aby zatrzymać go w domu, jeżeli nie dla czego innego, to ze względu na ludzkie plotki. Ale teraz, gdy rachuba go zawiodła, musiał bądź co bądź spełnić swoją pogróżkę. Poszukał więc czapki i poszedł do gospody, o którą nigdy nie dbał, a dziś mniej niż kiedykolwiek, i do której uciekał od nieboszczki tylko wówczas, gdy ogarnęła go zbyt silna tęsknota za Vendulką. A teraz ta sama Vendulka wygania go tam, — bo czemże innem był jej opór?

Odszedł, ale teraz burzyło się w nim nietylko serce, lecz i żółć. Postanowił zemścić się dziś jeszcze i to dotkliwie nad Vendulką za doznany zawód. Jakoż wracając rzeczywiście bardzo późno do domu, poprzewracał w sieniach wszystkie konewki i skopki, aby tylko słychać go było w izbie i aby ona sądziła, że upił się dziś w gospodzie po raz pierwszy w życiu, i to z jej winy.

Ale jakżeby Vendulka mogła nie poznać, że hałasuje jedynie, aby jej robić na przekór? Z początku chciała się gniewać, ale gdy w sieniach wszczął się grzmot, jak gdyby tam pioruny

biły, taki śmiech załechtał jej w gardle, że o mało nie parsknęła na głos u kolebki. Ją chciał ukarać, a tymczasem karał sam siebie. Wszak dobrze wiedziała, że nie jest wcale pijakiem i że nie mógł się nim stać przez jedną noc, nie mając ku temu żadnej skłonności.

V.

— Piękne pochwały oddawali ci wczoraj ludzie, widząc mię siedzącego do rana w gospodzie, w której dawniej nie bywałem — mówił na drugi dzień drwiącym tonem Łukasz.

— Musieli to być prawdziwi mędrcy, jeżeli odpowiedzialność za złe postępki jednej osoby spychali na inną.

— Wszak łacno zrozumieli, że nie zabawiałbym się w ich towarzystwie, gdybyś była taką, jaką być powinnaś.

Vendulka straciła ochotę do żartów.

— A cóż ci tu zaniedbuję, że tak o mnie mówisz i innym mówić pozwalasz?

— Najpierwszą w domu osobę — gospodarza. Gdybym był poprosił którejkolwiek ze znajomych dziewcząt, aby mię pocałowała przez zwykłą jedynie życzliwość, każda byłaby to uczyniła bez wzdragania.

— Ale ja nie jestem taką, jak każda.

— O, co do tego masz zupełną słuszność, każda bowiem byłaby wynagrodziła uczuciem za uczucie, a ty pychą odpłacasz mi za miłość.

— Jeżeli sądzisz, że miłość polega na całowaniu się, to w takim razie nie wiesz i nigdyś nie wiedział, czem ona jest naprawdę. Taka miłość nie posiada żadnej w moich oczach wartości.

— W moich zaś nie posiada żadnej wartości taka, w której niema ani dobroci ani słodyczy.

I z cierpkimi temi wyrazy Łukasz opuścił izbę, przypominając sobie żywiej niż kiedykolwiek kuma Frasobnickiego. Prawda, święta prawda tkwiła w każdem jego słowie, mądry to był i doświadczony człowiek, a głupcem tylko ten, kto się z niego śmiał.

Z żalem patrzyła tym razem Vendulka w ślad za odchodzącym Łukaszem. Kiedyindziej gniewał się tylko i chmurzył, dziś był widocznie dotknięty i zaczynał już wątpić o jej sercu, widząc w całem jej zachowaniu się nierozsądny jedynie upór. Na płacz zbierało się biedaczce z żałości, chociaż nie miewała zwykle łez w pogotowiu. Długo i poważnie zastanawiała się tego wieczora nad sobą i Łukaszem.

— A coby było — myślała, opierając ciężką głowę o kolebkę — gdybym jutro rano, nim pójdzie w pole, zrobiła to, czego się odemnie domaga i powiedziała mu przy tem: niech już będzie zgoda między nami! Nie ubliżyłabym może pamięci nieboszczki, a jemubym dowiodła, że potrafię zastosować się do jego woli nawet wbrew własnemu przekonaniu. Ale nie, nie uczynię tego, wszak sprzeciwiam mu się nie dla fantazji, tylko dla istotnych i słusznych powodów. A gdyby nieboszczka nie była odeszła z tego świata i wszystko zostało po dawnemu? I wówczas musielibyśmy się przecie pogodzić z losem. Nie, nie! niech zostanie wszystko, jak to sobie z góry ułożyłam, bo tak będzie najlepiej!

Nie nadaremnie mówił o córce kum Frasobnicki, że nie odstąpi od swego, choćby się ziemia miała pod nią rozstąpić. Chwiał się już grunt pod jej stopami, silnie i niebezpiecznie chwiał, ale ona ani myślała o odwrocie.

Gdy jednak Łukasz od ostatniej rozmowy ani na chwilę nie rozjaśniał zasępionego czoła, do niej wcale się nie zbliżał i mówił tyle tylko, ile konieczność wymagała, a nadto odchodził do gospody każdego wieczora, wracając dopiero nad ranem, musiała w końcu sama przed sobą przyznać, że, wbrew najlepszym zamiarom, na złej znajduje się z nim drodze. Silniejszy jeszcze owładnął jej sercem niepokój, gdy pewnego dnia musiała odmierzyć sąsiadowi korzec żyta, który Łukasz przegrał mu był w karty nocy poprzedniej.

Wróciwszy do izby, osunęła się na przypiecek, gdzie pierwszego dnia jej tutaj pobytu rozpoczęła się między nimi nieszczęsna sprzeczka i płacząc rzewnie, biła się z myślami, co ma zrobić, gdy Łukasz wróci wieczorem z pola do domu.

Nie powzięła żadnego jeszcze postanowienia, gdy Łukasz ukazał się we drzwiach. Widząc ją we łzach u kolebki, stanął jak wryty. Boleśnie, bardzo boleśnie go dotknęło, że tak gorzko pod jego dachem płacze, i przypomniała mu się inna straszna godzina, gdy widział ją tak samo płaczącą — było to ostatniego wieczora, który spędzili pod osiką, żegnając się, jak wówczas sądzili, na zawsze... I on zaczął się bić z myślami, czy nie należy mu dowieść, że mąż więcej ma rozumu od niewiasty, a więc i on daje wszystkiemu za wygranę i nie będzie żądał od niej pocałunku aż po ślubie. Po co mają i nadal jeszsze zatruwać sobie życie? Tak gorąco się miłowali, sądzili, że umrą z rozpaczy, gdy los ich rozdzielił, a teraz przed samym ślubem dręczą się wzajemnie i o co? o marne nic!

— I dla czegoż to płaczesz? — zapytał głosem tak łagodnym, jakim oddawna już do niej nie przemawiał.

— A więc i ty umiesz zgrywać się w karty z szulerami?

— Teraz umiem cośkolwiek, ale przed niedawnym czasem jeszczem nie umiał.

— Nauczyłeś się jednak przedewszystkiem robić mi na przekór, nieprawdaż?

— A co robisz ty mnie?

— Zachowuję się względem ciebie jak na uczciwą przystało dziewczynę i zasługiwałabym raczej, abyś mię chwalił, niż ganił.

— Jakto? mam cię jeszcze chwalić, że w duchu wyśmiewasz się ze mnie, iż skakać muszę, jak ty mi zagrasz? Spróbuj opowiedzieć komu, jak ze mną postępujesz, a zobaczysz, czy ci kto uwierzy. Ale przyjdzie czas, że się przekonasz, jako nie jestem żadnym zakochanym młokosem, który się daje na jedwabnej prowadzić nitce. Zupełnie, ale to zupełnie tak postępować będę z tobą po ślubie, jak ty ze mną teraz. Ułożyłem to już sobie i potrafię myśl w czyn zamienić, zobaczysz!

Nieszczęsna Vendulka zbladła jak śmierć, chociaż może zeznawała, że przez usta jego przemawia jedynie wściekłość i że najlepiej było położyć temu wszystkiemu koniec spokojnemi słowy: »Lepiejbyś nie plótł od rzeczy!« Kto dobrocią nie da sobie rady z mężczyzną, gdy ten gniewem się unosi, ten złością, jako żywo, niczego z nim nie dokaże. Lecz zaledwie rozdrażniony Łukasz wymówił szalone słowa, porwała się jak gdyby pchnięto ją nożem.

— Wszak nie stoi nigdzie napisane, że my dwoje mamy się koniecznie pobrać ze sobą — mówiła drżącym głosem. — Jeżeli tak jest naprawdę, jak mówisz i jeżeli w przyszłości nie oczekuje mię nic innego, jak wstyd i hańba, najlepiej uczynię, odchodząc z twego domu wpierw, nim jeszcze wszystkie jego kąty łzami obleję!

Teraz Łukasz zbladł, jak trup.

— Tyś i na to gotowa! — zasyczał. — Ale sprobój tylko, a zobaczysz, jak cię ojciec przywita. I jeżeli masz nadzieję, że zalotnicy będą się dobijali o ciebie, jak dawniej, to się bardzo mylisz. Zrozumie każdy, że nie jesteś taką, za jaką się wydajesz, inaczej byś nie odchodziła od pana młodego, u któregoś już gospodarowała.

— Ty sam wiesz najlepiej, czym ubiegała się kiedy o względy mężczyzn, czy nie. O żadnego z nich nie dbam ale nie dbam też i o ciebie. Odżałowałam cię raz, odżałuję i drugi.

Łukasz wyleciał za drzwi, jak prochem wysadzony. Czuł, że w sercu wyrastają mu same tylko ciernie, a w głowie huczało pytanie: coby to wymyśleć takiego, aby zranić ją tak boleśnie, jak zraniły jego ostre jej słowa?

Tłumacz. z czeskiego

C. d. n. *M. W.*

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Luty 1894.

Po dalszym ciągu powieści Z. Kowerskiej »Na służbie«, zaznaczyć należy urozmaiconą, jak zwykle, kronikę paryską, artykuł p. t. »Eksperyment jako metoda psychologiczna«, opowiadanie p. Chrapowickiego: »Starościna opeska«. Oparte na niewydanych dokumentach, dopełnia ono i prostuje szkic dra Antoniego J., ogłoszony pod tym samym tytułem przed kilku laty, zaczerpnięty głównie z pamiętników Matuszewicza i istniejących legend o głośnej w XVIII. wieku sprawie.

Dokończone w omawianym zeszycie wyczerpujące sprawozdanie p. Rembowskiego z ostatniej pracy historycznej prof. Pawińskiego o »Sejmikach ziemskich«, jest samo przez się artykułem bardzo ciekawym. P. Rembowski tak w końcu formułuje swój ogólny sąd o dziele Pawińskiego: »Sejmiki ziemskie prof. Pawińskiego, przedstawiając pełny obraz ich politycznego życia, dały możność dokładnego porównania tejże instytucji z podobnemi wytworami prawa państwowego na zachodzie Europy. Wyborne to dzieło zapobiega nadal wszelkim dorywczym sądom historycznym, które dopatrują w dawnym stanowym porządku Rzeczypospolitej polskiej rozkwitu zasad konstytucji angielskiej, nowożytnych rządów reprezentacyjnych, lub też wytykają w nim niebywale zwyrodniały ustrój, godny jedynie napiętnowania i wystawienia na niesławę pod pręgierzem wyjątkowości. Pełność materjału dziejowego i ścisłe a zawsze pełne rozwagi wyrozumienie treści oraz ducha, spoczywającego w źródłowej spuściźnie przeszłości, dają »Sejmikom ziemskim« prof. Pawińskiego specjalny charakter, będący wyłącznie udziałem klasycznych prac historycznych, w których nieznajomość źródeł nie bywała pokrywaną czysto podmiotową, choć niekiedy olśniewającą, historjozofją... Prof. Pawiński również nie podjął się roli kaznodziei, który wypomina grzechy i moralizuje pokolenia dawno spoczywające w mogile. Badanie prawdy, odtworzenie zamierzchłych dziejów i zamarłego życia stanowiło jasny i wyraźny cel, do którego dążył z sumiennością i gruntownością wzorową«.

p.

PRO MEMORIA.

19. marca 1833. Emisarjusze emigracji polskiej wyznaczyli na ten dzień powstanie w ziemiach polskich pod zaborem moskiewskim.

19. marca 1864. Zginął na szubienicy z rozkazu Murawjewa Konstanty Kalinowski, bohater styczniowego powstania na Litwie.

20. marca 1848. Zawiązał się w Poznaniu Komitet narodowy celem przygotowania powstania

23. marca 1794. Przybył do Krakowa Tadeusz Kościuszko, aby stanąć na czele powstania.

24. marca 1894. Kościuszko złożył na rynku krakowskim przysięgę, że się będzie bił do ostatniej kropli krwi, aby wywalczyć wolność i równość wszystkim mieszkańcom Polski.

24. marca 1832. Car Mikołaj wydał rozkaz porywania ubogich chłopców polskich, a zwłaszcza synów żołnierzy, którzy brali udział w powstaniu, aby ich wychować na wrogów własnej ojczyzny.

24. marca 1863. Lelewel-Borelowski, rzemieślnik, odniósł na czele utworzonego przez siebie oddziału zwycięstwo pod Krasnobrodem i został mianowany pułkownikiem.

25. marca 1831. Wybuchło na Żmudzi powstanie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.